



Wojciech T. Pyszkowski

# HUMUS

Wojciech T. Pyszkowski

# HUMUS

© Copyright by  
Wojciech Pyszkowski & e-bookowo

Projekt okładki:  
e-bookowo

ISBN 978-83-7859-208-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2013

*Gaudeamus igitur  
Juvenes dum sumus  
Post jucundam juventutem  
Post molestam senectutem  
Nos habebit humus...*

*Radujmy się więc  
Dopókiśmy młodzi  
Po przyjemnej młodości  
Po uciążliwej starości  
Posiądzie nas ziemia...*

*(pieśń studencka; tekst poety C.W.  
Kinderlebena – 1781 r.  
oparty na hymnie pokutnym z XIII w.)*

Wojciech Pyszkowski HUMUS

*Tym, których kocham*

**TERAZ...**

Jest dzisiaj jakiś dzień... Codziennie są jakieś dni. Przynajmniej z tego zdaję sobie jeszcze sprawę. W zasadzie jest mi wszystko jedno, jaki to jest miesiąc i która godzina...

Wczoraj... a może dzisiaj?... Nie ma to specjalnego znaczenia, a więc wczoraj, albo dzisiaj przyszła jakaś pani, pochyliła się nade mną i coś powiedziała. Akurat siedziałem wygodnie w fotelu i patrzyłem w okno. Oczy miałem otwarte... chociaż, może półprzymknięte?... W każdym razie, powtórzyła coś parę razy i potem potrząsnęła moim ramieniem, jakby usiłując mnie obudzić. Zdenerwowało mnie to, bo przecież nie spałem. Spojrzałem na nią ostro i krzyknąłem, gdyż nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie dotykał. Odskoczyła i podbiegła do drzwi. Zawołała kogoś, kto po chwili wszedł do pokoju. I teraz obie te osoby pochyliły się nade mną.

Zorientowałem się, że coś do mnie mówią. Wyglądały jak duże, zmartwione czymś marionetki. Nie chcąc robić im przykrości, wyteżyłem umysł.

– Panie Krzysztofie, czy pan nas słyszy? – Zrozumiałem wreszcie. – Panie Krzysztofie, jak się pan czuje?

Przecież to oczywiste, że dobrze się czuję. Skinąłem powoli głową.

– Dobrze, że chociaż reaguje – powiedziała jedna do drugiej.

– Proszę spróbować jeszcze raz – poradziła ta druga.

– No, panie Krzysztofie, niech pan nam powie, czy dzisiaj boli pana głowa?

Dzisiaj?... A może wczoraj?... A może kiedykolwiek?

– Nie – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Spojrzały na siebie z ulgą.

– Czy zjadł pan wszystko? – spytała ta pierwsza. Jadłem coś oczywiście, ale nie pamiętam, czy to było rano, czy trochę później.

– Śniadanie? – spytałem powoli.

– Tak, tak, śniadanie – ucieszyły się obie.

– No i co z tego? – wysylabizowałem, czując satysfakcję, że jeszcze stać mnie na świadomą złośliwość.

– Pan Krzysztof jak zwykle udaje, że nie wie, o co chodzi – powiedziała jedna do drugiej. – A przecież doskonale we wszystkim się orientuje. Prawda?

To „prawda?” skierowane było znowu do mnie.

– Cholera – powiedziałem bardzo spokojnie.

– No widzi pan, panie doktorze, to się zdarza coraz częściej.

Aha, a więc ta druga osoba, to pan doktor... A ta pierwsza? Właściwie nie ma to dla mnie specjalnego znaczenia. Niech będzie sobie na przykład bu... bu... bufetową. Tak, bufetową! Tylko skąd znam to dziwne określenie?...

– To normalne, siostró. Wie pani, o co mi chodzi? Nie mam na myśli ogólnego stanu naszego pacjenta. W tym stadium choroby tego rodzaju reakcje będą zdarzały się coraz częściej. Ważne jest, aby go nie denerwować.

No, to wszystko jasne. Nie bufetowa, tylko jakaś siostra. Siostra? Czy ja mam siostrę?

Wyciągnąłem rękę, wskazując ją palcem i spytałem z nadzieją:

– Siostra?

– Tak, tak – odpowiedział uspokajająco doktor.

– Moja?

– Niech będzie pana.

Ten cwaniak próbuje wyprowadzić mnie w pole, ale to nic nie szkodzi. Ja i tak wiem swoje.

– Gównó – stwierdziłem stanowczo.

Ten, co podawał się za doktora, uśmiechnął się wyrozumiale.

– Siostró – powiedział. – Lekarstwa w dalszym ciągu te same. W przypadku powtarzającej się nadpobudliwości, podamy to, co zawsze.

– Na razie nie jest agresywny.

– Tomografię komputerową i badania neuropsychologiczne przeprowadzimy za dwa tygodnie.

Ta, co udawała siostrę (moją siostrę?), przekartkowała coś, co wyjęła z kieszeni czegoś białego, w co była ubrana.

– We czwartek? – spytała.

– Może być we czwartek.

Pomyślałem, że powinni już wyjść i pozwolić mi znowu patrzeć w okno. Prawdopodobnie w tym czasie, kiedy zawracają mi głowę, sporo już tam się



wydarzyło, a wiele rzeczy mogło się wydarzyć bezpowrotnie.

– Panie Krzysztofie...

– Mam to w...

– Panie Krzysztofie – nie pozwoliła mi skończyć.

– To są pastylki, które teraz powinien pan połknąć.

Posłusznie otworzyłem usta, żeby jak najszybciej jej się pozbyć.

– Bardzo ładnie – ucieszyła się i wcisnęła mi do ręki coś przezroczystego z wodą. A potem, patrząc na mnie uważnie, aby przekonać się, co robię z włożonymi do ust proszkami, dodała: – Mam dla pana niespodziankę, panie Krzysztofie.

– Tak? – zdziwiłem się bełkotliwie.

– Ktoś ma do pana przyjść w odwiedzin.

Cholera, nikogo tutaj nie potrzebuję. Znowu ktoś przyjdzie, będzie zadawał kłopotliwe pytania.

Odwróciłem głowę w kierunku okna, ale tak, żeby kątem oka obserwować, czy tych dwoje w końcu sobie wychodzi.

Wyszli. Najpierw ten niby doktor, a potem ta fałszywa siostra.

Wyplułem wszystkie pastylki i wrzuciłem pod dywan...

**RETROSPEKCJA...**

- Krzysiek?
- Tak.
- Krzysiu, nie mogę włożyć tego... no wiesz, czego...
- Czego nie możesz włożyć?
- No, tego do wody, co się... filtruje.
- Tato, powiedz jeszcze raz, co chcesz zrobić
- Chwila milczenia. – Filtr, trzeba zmienić, filtr do wody.
- No to zmień, robiłeś to tyle razy.
- Tak, ale nie ma, no wiesz, nie ma tego w co się wkłada.
- Tato, jak zdejmiesz pokrywkę, to zobaczysz, że w środku jest specjalny otwór, w który ten filtr się wkłada.
- Tam nic nie ma.
- Jak to, nie ma?
- Tam tylko są takie... do prądu.
- Myślę przez chwilę, co to może być. – Tato, powiedz, czy ty masz przed sobą pojemnik do filtrowania wody?
- Tak.
- No to przecież można tam włożyć ten filtr.

– Nie można.

Znowu się zastanawiam i... nagle olśnienie: – Tato, czy w tym pojemniku są spirale do podgrzewania wody?

Krótkie wahanie. – Tak, to chyba są spirale.

– No więc nic dziwnego, że nie można wymienić filtra. Masz przed sobą elektryczny czajnik do gotowania wody.

– A tak, masz rację, to jest czajnik.

– Tato, na parapecie pod oknem stoi pojemnik do filtrowania wody, to do niego trzeba włożyć nowy filtr.

– Aaaa.... miałem jakieś zaćmienie umysłu. Masz rację, przecież czajnik to nie filtr.

– Nie przejmuj się, każdemu może się to zdarzyć.

– Krzysiu, przyjdź jednak i sam wymień ten filtr.

– Dobrze. Będę u was jutro i to zrobię.

Ojciec bez słowa odkłada słuchawkę.

– Kto dzwonił? – pyta Halina.

– Ojciec. Pomylił czajnik do gotowania wody z pojemnikiem do filtrowania. Muszę do nich jutro wpaść i wymienić ten filtr.

– Tyle razy to robił i nie potrafi?

– Nie potrafi. – Staję przed oknem i bezradnie myślę, że coś trzeba będzie z tym zrobić.

- Dzień dobry pani.
- Dzień dobry, słucham?

Znowu jestem, na Hożej, tym razem sam. Przycho-  
dząc, powodowany niepokojem i strachem. W miarę,  
jak dociera do mnie fakt, że choroba ojca skazuje  
go na powolne zamieranie, czuję się coraz bardziej  
bezzadny. – Proszę pani, mój ojciec choruje na Al-  
zheimera. Jest to dopiero pierwsze stadium, ale...

- Rozumiem. Niech pan siada.

Zajmuję wskazane miejsce przy okrągłym stoli-  
ku. W pokoju, oprócz nas i osoby piszącej coś przy  
sąsiednim biurku, nie ma nikogo.

- Czy pan jest jego opiekunem?

- Jestem jego synem...

- Ale opiekuje się nim pan?

– Tak... to znaczy nie zajmuję się nim bez prze-  
rwy. Ojciec mieszka osobno, z moją matką. Ja przy-  
chodzę do nich kilka razy w tygodniu.

– No tak, w tym stadium choroby jest to jeszcze  
możliwe, ale później...

– Dlatego przyszedłem tutaj – mówię. – Pomy-  
ślałem, że jeśli zapiszę się do waszego Stowarzysze-  
nia, to może będę miał większe możliwości niesienia  
pomocy ojcu. Podobno organizujecie turnusy rehabi-  
litacyjne?

Kobieta spogląda na mnie badawczo. – Tak, ale ostatnio mamy z tym trudności. Zorganizowaliśmy parę bezpłatnych turnusów, ale pieniędzy mamy coraz mniej. Prawdopodobnie od przyszłego roku będziemy musieli brać opłatę. A wie pan, nie każdego stać na wysupłanie kilkuset złotych, bo to przecież trzeba płacić i za chorego i za opiekuna.

– No tak, ale akurat w moim przypadku nie będzie z tym trudności.

– To dobrze. Jednak odradzałabym panu posyłanie pana ojca teraz na taki turnus.

– Dlaczego?

– Tam są ludzie przeważnie w znacznie gorszym stanie, niż pana ojciec. Może to źle na niego wpłynąć, bo zobaczy siebie takim, jakim może być w przyszłości.

– Rozumiem. W takim razie w czym mogą mi państwo pomóc?

– Może pan dostać u nas taniej pampersy, ułatwimy panu kontakt z fachową opieką, jeśli będzie taka potrzeba. Polska Fundacja Alzheimerowska prowadzi w Warszawie dom pobytu dziennego dla chorych z otępieniem. W każdej dzielnicy działa też grupa wsparcia. Organizujemy otwarte zebrania dla członków Stowarzyszenia. Szczególnie namawiałabym pana do uczestniczenia w spotkaniach grupy wsparcia. Z jakiej pan jest dzielnicy?

– Z Ochoty.

– Niech pan popatrzy. – Kobieta otwiera Biuletyn Polskiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Choro-bą Alzheimera. – Najbliższe spotkanie organizujemy we wtorek. Przyjęliśmy zasadę, że w tej dzielnicy ter-

miny spotkań to każdy ostatni wtorek miesiąca. A na przykład na Mokotowie, w każdą trzecią sobotę miesiąca. To łatwo zapamiętać...

– Ja jednak muszę to sobie zapisać. – Śmieję się.  
– Z moją pamięcią też nie jest już najlepiej.

– Dam panu ten biuletyn. Są w nim także nazwiska osób prowadzących grupy, ich adresy, telefony.

– Dziękuję.

Przerzucam szybko biuletyn. Myślę, że powinienem nawiązać kontakt z grupą wsparcia z mojej dzielnicy, albo chociaż pójść na otwarte zebranie członków Stowarzyszenia. Nie wiem jednak, czy będę miał na tyle siły i samozaparca, żeby to w najbliższym czasie zrealizować.

– To jak, chce pan zapisać się do Polskiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Chorobą Alzheimera?

Strasznie długa nazwa, trudna do zapamiętania. Staram się powtórzyć ją, nie patrząc na nagłówek biuletynu. Nie potrafię jednak zrobić tego bezbłędnie. – Tak. Przecież właściwie w tym celu tutaj przyszedłem – odpowiadam.

– Dobrze. Tutaj jest deklaracja. Proszę ją wypełnić, a ja tymczasem wypiszę panu legitymację. Na krótko zapada cisza, przerywana dobiegającymi zza okien odgłosami świata tych, którzy zdają sobie jeszcze sprawę z tego, że żyją. – Jaki jest pana adres? – pada po chwili pytanie.

Podaję.

– A numer kodu?

Recytuję bezbłędnie.

– Numer kodu pana ojca?

– Zero, zero... – I coś zacina się w tej maszynie, nad którą jeszcze podobno panuję. – Zero, zero, siedemset... Bardzo przepraszam, ale nie pamiętam.

– Nic nie szkodzi. Poda nam pan później. – Wydaje mi się, że głos kobiety brzmi podejrzenie uspokajająco. Myślę, że w tym pomieszczeniu najmniejsze nawet zachwianie pamięci traktowane jest tak, jak by właściwie nic się nie stało, a jednak...

– Jaką składkę będzie pan płacił?

– A jaka jest przyjęta?

– Najmniej pięć złotych miesięcznie.

– No to właśnie tyle.

I zaraz dopadają mnie wyrzuty sumienia, że zaproponowałem tak mało, ale szybko je odganiam, postanawiając w przyszłości płacić więcej.

– To właściwie wszystko – stwierdza kobieta, podając mi legitymację. – Aha, dobrze będzie, jeśli zapozna się pan z tą publikacją. Z pewnością przyda się panu. – Wręcza mi niewielką książeczkę w zielonej okładce.

„Jak radzić sobie z chorobą Alzheimera. Poradnik dla opiekunów”, odczytuję. Kobieta patrzy na mnie z odrobiną współczucia.

– Proszę wziąć jeszcze i to.

„Choroba Alzheimera. Praktyczny zestaw dla opiekuna”. Sztywna, tekturowa teczka formatu A 5. W środku, na półkuliście wyciętej kieszonce, napis: „Informacje i wskazówki, przydatne w opiece nad twoim bliskim, u którego rozpoznano chorobę Alzheimera. Znajdziesz tu również naklejki, ułatwiające choremu orientację w mieszkaniu, oraz naszywki do ubrań, umożliwiające identyfikację w przypadku

zagubienia, a także adresy organizacji alzheimerowskich”.

– Rzeczywiście, to bardzo przydatny zestaw – zauważam. – Mam jednak nadzieję, że jeszcze jakiś czas nie będę musiał z niego korzystać.

– Choroba postępuje szybko. Radzę panu przygotować się zawnazu do roli opiekuna.

– Nie wiem, czy dam sobie z tym radę.

– Zawsze może pan zwrócić się o pomoc do nas.

– Dziękuję pani. – Zbieram ze stołu otrzymana materiały i wstaję.

– Niech pan od czasu do czasu zagląda do nas.

– Postaram się. Może wkrótce i ja będę potrzebował fachowego wsparcia. Z moją pamięcią coraz gorzej. Miała pani przykład: zapomniałem numeru kodu ojca – stwierdzam to w formie wątpliwego żartu, który jednak tu, w tym właśnie pomieszczeniu zostaje potraktowany bardzo serio:

– Może pan podać się badaniom – proponuje osoba, siedząca przy sąsiednim biurku. – Organizujemy w tym miesiącu akcję bezpłatnych badań dla osób po 65-tym roku życia.

– No, ja dopiero kończę sześćdziesiąt. Mam jeszcze czas.

– W każdym razie, zapraszamy.

– Mam nadzieję, że jeszcze będę wiedział, co się ze mną dzieje – znowu usiłuję żartować, ale brzmi to żałośnie.

Wychodzę z uczuciem przygnębioną ulgi. Tuż za drzwiami, tknięty nagłym olśnieniem, znajduję w portfelu zapisany na kartce nieszczęsny kod.



– Co pan tu robi, panie Skonecki?

Starszy, pochylony mężczyzna z laską patrzy na mnie nieprzytomnie.

– Znowu pan nie może trafić do domu?

Jego twarz rozjaśnia się. Podaje mi rękę na powitanie, w dalszym ciągu nie wiedząc, z kim ma do czynienia. – To ja tutaj nie mieszkam? – pyta.

– Nie.

– A gdzie?

– Mieszka pan trzy ulice dalej, na... – wymieniam jej nazwę.

– No, popatrz pan, znowu zapomniałem. – Drepcze w miejscu, pociągając za sobą wózek na zakupy.

– A było już lepiej – stwierdza smutno.

– Bierze pan lekarstwa?

– Jakie lekarstwa?

– No, jedną pastylkę wieczorem na pamięć?

– Nie biorę.

– To właśnie dlatego. – Widać, że piętnaście stopni mrozu porządnie dało mu się we znaki. Musi błądzić po okolicy już dłuższy czas. – Panie Skonecki, odprowadzić pana?

– Niech pan odprowadzi – zgadza się natychmiast. Biorę od niego wózek, żeby odrobinę przyspieszyć naszą wędrówkę. Skonecki idzie jednak powoli,

podpierając się laską i omijając zaśnieżone fragmenty chodnika.

– Używa pan laski – zauważam, żeby coś powiedzieć.

– A, tak. To dobra rzecz. Jestem bardziej widoczny. Samochody mnie lepiej widzą i uważają na mnie.

– Śmieje się krótko.

– Wyszedł pan po zakupy?

– Tak. Kupowałem coś w sklepie na Niemcewicza i zabłądziłem.

– Poszedł pan nie w tę stronę, co trzeba.

– No właśnie, a było już wszystko w porządku... Byłem, wie pan, na odsłonięciu tego pomnika...

– Pomnika Narutowicza?

– Tak. I widzi pan, wtedy trafiłem do domu.

– A teraz poszedł pan tam, gdzie pan mieszkał najdłużej, zanim przeprowadził się pan gdzie indziej. Zapamiętał pan właśnie to miejsce – pocieszam go.

– O, spędziłem tam większość życia. Pamiętam wszystko to, co było dawniej. – Skonecki zatrzymuje się i wyciera nos. – Ale zima... Dawno takiej nie było. Ale ja już taką przeżyłem. Było tak zimno, że ptaki zamarzały. – Spogląda na mnie z przekonaniem.

– Niemożliwe.

– A, panie, niemożliwe... To były wróble. Nie latały, tylko siedziały na ziemi. O, tutaj – pokazuje ubity śnieg pod drzewem przy parkanie. – Nie ruszały się. Brałem je do ręki a ich serca bardzo szybko biły. Nie było tego słyhać, tylko czułem to ręką. Zabierałem je i zanosłem do domu. Matka otwierała piekarnik, kładła ręcznik i wkładała te wróble do środka. No i one po jakimś czasie ogrzewały się i zaczynały się

ruszać. Ja im dawałem trochę wody i jeść, a potem wypuszczałem je, no bo jak wróble trzymać w domu?

Idziemy zaśnieżonym chodnikiem. Wróble tym razem nie ma. Może ta zima nie jest jeszcze taka mroźna?

– Panie Skonecki, czy żona jest w domu?

– Jest, jest. Czeka na mnie.

– Pewnie się denerwuje?

– Może tak – zastanawia się nagle pyta: – To jak dawno ja już tam nie mieszkam?

– Czternaście lat.

– Czternaście lat, no popatrz pan...

– Tak. Wtedy zamieniliśmy się mieszkaniem.

– Zamieniliśmy się? – Patrzy na mnie z niedowierzaniem. – Ale wie pan – zauważa po chwili – to dobrze, że mieszkam w tej samej dzielnicy. Te same ulice, te same sklepy...

– Nadal jest pan u siebie.

– Tak, tak... O, widzi pan? Teraz tam mieszkam – przypomina sobie nagle i pokazuje laską jeden z trzech wysokich bloków u wylotu ulicy.

– Rzeczywiście, tam – mówię ze zdumieniem. – Trochę pan jednak pamięta. Nie jest tak źle.

– A, panie, zły jestem, że tak zapominam. Stary już jestem... Ale spółdzielnia jest bardzo dobra, bogata. Sprzedali... mieli takie place i sprzedali je. Teraz mają dużo pieniędzy i dbają o domy. Ocieplili je. Ciepło jest i jest winda.. – Zatrzymujemy się przed bramą. Skonecki otrzepuje ze śniegu buty i dodaje w zamyśleniu: – Laska to naprawdę dobra rzecz, ale kupię sobie psa. Ten pies będzie mnie zawsze przyprowadzał do domu.

Naciskam domofon, informuję panią Skonecką, że przyprowadziłem zgubę i wracam do siebie.

– Wiesz – mówię do Haliny – odprowadziłem Skoneckiego do domu.

– Znowu zablądził?

– Tak, ale tym razem nie upierał się, że mieszka u nas.

– Widocznie lekarstwo zdążyło już zadziałać.

– Mówił, że nie zawsze je bierze. Czy on ma zapisanane to samo, co ojciec?

– Tak. Pani Skonecka mówiła, że tak.

Zdejmuję buty i wchodzę do kuchni. Halina nastawia wodę na herbatę.

– Popatrz – mówię – jak zupełnie inny przebieg ma ta choroba u niego. On dużo mówi i to całkiem płynnie. Nie szuka słów, natomiast traci orientację. A ojciec wie gdzie mieszka, nie błądzi, umie poruszać się autobusami i tramwajami, ale z trudem formułuje zdania. Z trudem określa to, o co mu chodzi. Często nie identyfikuje nazw z przedmiotami... Właściwie nie wiem, co jest lepsze.

– Nigdy bym tutaj nie trafił – stwierdza ojciec.

Idziemy z szatni długim korytarzem. Założone na buty ochroniacze szeleszczą przy każdym kroku.

– Wejdiesz schodami, czy pojedziemy widną? – pytam.

– Oczywiście, że schodami – odpowiada i rozpoczyna powolną wspinaczkę na drugie piętro. Kiedy docieramy na górę, zatrzymuje się, ciężko łapiąc powietrze. – Stary jestem – konstatuje ze smutkiem. – Ale nie dają się. Codziennie ćwiczę i chodzę na spacer.

– Bardzo dobrze – chwale go, słysząc to po raz tysięczny. – Tędy, tato, wchodzimy tymi drzwiami.

– Oddział Alzheimerowski – czyta głośno. Spoglądam na niego z niepokojem. Ojciec jednak dzielnie znosi świadomość swojej choroby. Nie skarży się i nie załamuje. Nie jestem pewien, czy byłoby mnie stać na taką postawę, gdybym dowiedział się, że ja też jestem chory... – Długo będą trwały te... te...? – pyta.

– Badania, tato. Cztery godziny.

– Długo...

Wchodzimy do pokoju recepcyjnego, który jest jednocześnie poczekalnią i jadalnią.

– Tata jest zapisany na pobyt dzienny – mówię.

– Wiem. Niech podpisze zgodę na badania. Po-

jemnik z moczem proszę postawić tutaj, na tacce – informuje uprzejmie pielęgniarka i zabiera ojca na badanie krwi. Patrzą za nim, jak idzie zgarbiony, trochę powłócząc nogami.

Do recepcji wchodzi jeszcze kilkoro pacjentów wraz z opiekunami. Stół nakryty jest do śniadania. Mleczna zupa, czajnik z herbatą, chleb, pokrojony schab. Ojciec wkrótce wraca, z opatrunkiem na przegubie lewej ręki.

– Jak poszło? – pytam.

– Kłuli mnie. Brali krew. Mierzyli też... no wiesz, zakładali coś tutaj – pokazuje biceps.

– Ciśnienie. Jakie miałeś?

– 120 na 70 – podpowiada pielęgniarka. – Bardzo dobre. – Jest wysoka i szczupła. Ma krótką spódniczkę i zgrabne nogi. – Niech tata zje śniadanie a potem proszę wyjść na korytarz i poczekać na badania psychologiczne.

– Ładna – stwierdza ojciec.

– Jedz, tato.

Ojciec, zwyczajem pokolenia urodzonego podczas I wojny światowej, łączywie pochłania swoją porcję – Dobrze. Dużo dali – chwali, zadowolony.

– Smakowało ci?

– Mogło być lepsze – dodaje po namyśle.

Podsuwam mu jeszcze poranne lekarstwa: pastylki przeciw arytmii, zestaw witamin i wyprowadzam na korytarz. Sprawdzam, czy włożył do ucha aparat, czy nie zapomniał swojej ukochanej torby, bez której nie rusza się z domu. Jestem tak tym wszystkim zaaferowany, że dopiero w gabinecie psychologa zauważam brak mojej teczki, którą zostawiłem w re-

cepcji. Wracam i przynoszę ją, bo w niej jest skróty z całą historią choroby ojca... Kto tu ma słabą pamięć?

Jak każdy opiekun osoby chorej na Alzheimera, asystuję przy badaniach. Pani psycholog prowadzi wywiad w formie rozmowy. Pyta ojca, jak się czuje, czy dobrze śpi, czy odczuwa poprawę swojego stanu, czy też pogorszenie, kiedy była ostatnia wizyta u lekarza. Potem informuje: – Dam panu trzy słowa do zapamiętania.

Ojciec kiwa głową.

– Proszę posłuchać: jabłko, książka, telefon. Niech pan powtórzy.

Ojciec powtarza powoli.

– Dobrze. A teraz proszę powiedzieć, jaki mamy rok, miesiąc i jaki dzień?

Ojciec zastanawia się, spogląda pytająco na mnie, ale zdaje sobie sprawę, że nie może liczyć na moją pomoc. Otwiera usta: – Rok ... tysiąc... – długie milczenie – dwa tysiące... trzysta... Nie, dwa tysiące trzeci.

Miesiąc i dzień nie sprawiają mu specjalnego kłopotu.

– Dobrze – chwali pani psycholog. – A teraz proszę powtórzyć wyrazy do zapamiętania.

– Jakie wyrazy? – pyta zdumiony ojciec.

– Te, które powiedziałam na początku.

– Nie pamiętam...

A ja, czy pamiętam? Gorączkowo usiłuję przypomnieć je sobie, tak jakbym to ja poddawany był badaniu. Wydaje mi się, że zapamiętałem dwa wyrazy. A jaki był ten trzeci? Nie jestem zadowolony z siebie.

Atmosfera tego miejsca powoduje, że myśli mi się zaskakująco ciężko. Słucham z napięciem pytań i usiłuję na nie odpowiadać. Nie idzie mi to zbyt sprawnie. W kilku przypadkach reakcja ojca jest szybsza od mojej.

– Nic nie szkodzi – uspokaja pani psycholog. Czyżby zwracała się również i do mnie? – Jaki jest pana adres?

Ojciec odpowiada prawidłowo.

– Na którym piętrze jesteście?

– Teraz?

– Tak.

„Cholera, na którym?”, zastanawiam się.

– Na drugim – odpowiada pewnie ojciec.

– Dobrze. Teraz dam panu zadanie do wykonania. Proszę, tu jest kartka i ołówek. To koło to tarcza zegara. Niech pan wpisze w nią godziny, tak jak jest to na zegarze.

Ojciec mozolnie wpisuje cyfry, rozmieszczając je nieregularnie ale w prawidłowej kolejności. Jestem zadowolony, bo wiem, że ja też bym to potrafił.

– Tak. Teraz niech pan narysuje wskazówki tak, żeby wskazywały dziesięć minut po czwartej. Godzinę czwartą dziesięć.

– Wskazówki... Co to są wskazówki? – pyta ojciec.

– Masz je na swoim zegarku, tato – nie wytrzymuję. – One pokazują, która jest godzina. Przecież umiesz odczytywać godziny.

– Pewnie, że umiem.

– No to narysuj to, o co pani doktor prosiła.

Ojciec długo wodzi ołówkiem po tarczy zegara



i w końcu w sąsiedztwie cyfry „4” pisze: „4<sup>10</sup>”. Pani psycholog pozostawia to bez komentarza. Notuje coś na swoim arkuszu.

– Teraz będziemy odejmować. Proszę odejmować od stu po siedem.

Ojciec tym razem rozumie zadanie. Odpowiada w większości poprawnie. Mylę się prawie w tych samych miejscach, co on.

– Dobrze – przerywa pani psycholog. – Teraz niech pan odejmuje od 40 po 4... Tak.... no i od 20 po 2... Dobrze. Na zakończenie proszę od 34 odjąć 14. Ile to będzie?

– Dwadzieścia – odpowiada ojciec, zawstydzając mnie, bo osiągnąłem wynik dwadzieścia cztery.

Pani psycholog znowu coś notuje w swoich dokumentach. – Czy pan ma tylko syna, czy jeszcze jakieś dziecko? – pyta.

Ojciec patrzy na nią zdumiony. – Dziecko?

– Czy oprócz syna ma pan jeszcze drugiego syna albo córkę?

– Jest... jest... Marysia – odpowiada z ulgą.

– A czy potrafi pan powiedzieć, jaki jest numer telefonu do pana syna i córki?

– Telefon? Tak.

– No to proszę. Do syna...

Ojciec zastanawia się długo. Powtarza różne cyfry, ale nie te co trzeba.

– Nie szkodzi – uspokaja go pani psycholog. – A telefon do siebie pamięta pan?

Tym razem, ku mojemu zdumieniu, ojciec odpowiada poprawnie. Wygląda na zmęczonego. Nie dziwię mu się. Ja też chętnie wyszedłbym z tego dusz-

nego pokoju.

– Chyba pan schudł – zauważa pani psycholog i zwraca się do mnie. – Co pana ojciec je? Czy pan to kontroluje?

– Nie zawsze jestem w stanie kontrolować. Mieszkam osobno. Wpadam do rodziców kilka razy w tygodniu. Tyle co się orientuję, to je regularnie, ale nie zawsze dużo.

Czuję się zawstydzony, jak uczeń, który nie przykłada się do odrobienia pracy domowej.

– Trzeba tego pilnować – karci mnie surowo pani psycholog. – Ojciec nie powinien tracić na wadze. To nie jest dla niego korzystne.

Do ojca nie dociera nasza wymiana zdań. Z pewnością słyszy nasze głosy, ale nie wie o czym mówimy. Jest to charakterystyczne dla jego wieku i choroby. Podobnie reagują dzieci, gdy nie zwracamy się do nich bezpośrednio.

– Nie będę już pana męczyła – mówi pani psycholog, przechylając się w stronę ojca i patrząc mu w oczy. – Na zakończenie, niech pan jeszcze przeliteruje od tyłu słowo „kwiat”.

– T... A... I... K – powoli wymienia ojciec.

– No tak, to wszystko. Badania neuropsychologiczne zrobimy w innym terminie. Ustalą to panowie z pielęgniarką. Aha... czy ojciec był na EKG?

– Czy byłeś na EKG, tato?

– Na EKG?

– Czy badali ci serce?

– Teraz, dzisiaj?

– Tak.

– Takie coś przykładali mi tutaj – ojciec pokazu-

je klatkę piersiową.

– Był. Widocznie zrobiono mu zaraz po pobraniu krwi.

Z ulgą wychodzimy na korytarz. Ojciec po raz kolejny dopytuje się, jakie badania przechodził i w jakim celu. Tłumaczę mu cierpliwie. Kiwa głową:

– Teraz wiem, co mam powiedzieć mamie. Czy to już koniec?

– Nie. Jeszcze tomografia komputerowa twojej głowy – w oczach ojca wielki znak zapytania. – Miałeś tomografię już dwukrotnie. Wsuwają cię do takiej rury i prześwietlają twój mózg.

– Aha... – potwierdza bez przekonania.

W poczekalni do pracowni z tomografem nikogo nie ma. Wychodzi młoda kobieta w białym fartuchu.

– Panowie na tomograf?

– Tylko ojciec.

– Proszę pana, to jest krótkie badanie. Nie boli. Po tym badaniu można iść do domu – tłumaczy powoli, dobitnie, tak jak bym to ja miał wejść do gabinetu.

– Wiem – uspokajam ją. – Ojciec przechodził to już kilka razy.

– To dobrze, proszę do środka.

Ja zostaję w poczekalni. Kobieta po chwili pojawia się znowu.

– Chyba pana ojciec pomylił się. Czy rzeczywiście ma osiemdziesiąt osiem lat?

– Tak. Za kilka miesięcy kończy osiemdziesiąt dziewięć.

– Świetnie wygląda.

– Fizycznie trzyma się nieźle, ale... – zawieszam

głos.

Badanie nie trwa długo. Już po dziesięciu minutach jesteśmy wolni.

– Może pójdziemy na kawę, tato? – proponuję. – Tutaj, na pierwszym piętrze jest całkiem przyjemny barek.

– Chodźmy do domu, mama czeka.

– Jest jeszcze wcześniej, dopiero wpół do jedenastej. Powiedzieliśmy, że będziemy w domu koło pierwszej.

– Dobrze, ale ja kawę – zaznacza ojciec.

Siadamy przy stoliku. Ojciec długo miesza w filiżance, rozchlapując zawartość na spodek. Podkładam pod nią papierową serwetkę.

– Kto to jest ta pani, u której najpierw byliśmy? – pyta.

– To pani psycholog. Ona jest twoim lekarzem prowadzącym. Zawsze do niej chodzimy.

– Po co są te wszystkie badania?... Co one mi dadzą?

– Tato, dzięki nim dowiadujemy się, jak postępuje twoja choroba.

– No i co dalej? Będę brał jakieś... pastylki?

– Będziesz brał to, co dotychczas. To samo lekarstwo na pamięć.

Ojciec ostrożnie podnosi filiżankę do ust. Udaje mu się przełknąć parę łyków bez rozlewania. – Wiesz – mówi – początkowo czułem się nienajlepiej. Byłem jakiś taki... zwolniony. Teraz czuję się całkiem dobrze. Mógłbym odpowiedzieć na wszystkie pytania. One były bardzo trudne, nawet dla zdrowego człowieka.

– Wypadłeś całkiem dobrze, tato.

– Nie wiedziałem, o co chodziło z tą godziną. Jest mi wstyd.

Wyjaśniam mu, rysując na bibułce, na czym polegało zadanie z godziną czwartą dziesięć. Ojciec długo studiuje to, co narysowałem.

– No, bardzo proste – stwierdza w końcu. – Nareszcie zrozumiałem o co chodziło pani doktor.

Idę wewnętrzną uliczką na terenie szpitala do budynku administracyjnego, gdzie niedawno przeniesiono Przychodnię dla Chorych na Alzheimera. Częściowo rozkopana, o nierównej nawierzchni, zakręca gwałtownie w prawo. Przechodzę obok budynku z materiałami niebezpiecznymi i mijam drogowskaz z napisem „Prosektorium”. Parę dni temu, właśnie w tym miejscu spytałem ojca: „To co, tato, idziemy tam?” „Jeszcze nie teraz”, odpowiedział ojciec, wpisując się w mój wisielczy dowcip.

Na czwartym piętrze pachnie farbą. Czyste ściany, zielonkawa wykładzina na podłodze i brak tabliczek na drzwiach gabinetów. Odnajduję recepcję, którą można rozpoznać po półkolistym kontuarze, widocznym z korytarza.

– W którym pokoju przyjmuje doktor...? – pytam i wymieniam nazwisko psycholog, prowadzącej leczenie ojca.

– W gabinecie 142 – odpowiada pielęgniarka. Jest miła i uśmiecha się ciepło, bez zawodowej uprzejmości.

Pod gabinetem siedzi starsza pani. Trzyma w ręku skierowanie z wypisaną godziną wizyty. Ja jestem wyznaczony o piętnaście minut później, zajmuję więc ustawione przypadkowo krzesło. Na kory-

tarzu panuje nieład. Stoją meble, których jeszcze nie wniesiono do pokoi, snują się robotnicy, usuwający drobne usterki.

Drzwi do gabinetu otwierają się. Kobieta podrywa się z miejsca.

– Za chwilę – mówi pani doktor i zatrzymuje mężczyznę w roboczym kombinezonie. – Panie Heniu, tabliczkę z napisem „Terapia grupowa” niech pan zawiesi na tamtych drzwiach a „Recepcja” o, tam...

– A co z tą tabliczką?

– Z tą niech pan jeszcze poczeka. Aha, trzeba poprawić kontakt na końcu korytarza.

– Dzień dobry pani – zwracam się do niej na wszelki wypadek.

– Pan też do mnie?

– Tak, po wyniki badań ojca.

– Za chwilę pana poproszę. Widzi pan, co się dzieje...

Mija jeszcze dobrych kilkanaście minut, zanim mogą wejść do środka. W gabinecie, ledwo widoczny za szafą monter dłubie coś w ścianie.

– Macie państwo bardzo ładną nową siedzibę – zauważam konwencjonalnie.

Pani doktor spogląda na mnie nieco zdziwiona.

– Tamta też była ładna.

– Ale tutaj jest bardziej przestronnie.

– No tak, więcej gabinetów... – zawieszają głos. –

Jak nazywa się pana ojciec?

Wymieniam imię i nazwisko. Pani doktor wyjmuję z szarej koperty zadrukowany arkusz i studiuje go przez chwilę. – Od ostatniego badania minimalny postęp choroby – stwierdza. – Nie ma potrzeby

wprowadzania zmian w sposobie leczenia. W dalszym ciągu to samo. Czy potrzebuje pan receptę?

– Tak. Poproszę dwa opakowania.

– Dobrze... Czy było ostatnio robione EKG?

– Tak, podczas pobytu dziennego.

– Nie mogłam znaleźć.

– Mam EKG zrobione dwa miesiące temu u kardiologa, pod którego opieką jest ojciec. Może wystarczy?

– Mogłoby, ale lepiej będzie, jeśli będziemy mieli swoje w naszych aktach... Ciekawe, gdzie się tamto podziało...

– Może zapodziało się podczas przeprowadzki?

– Możliwe... Niech pan ustali z pielęgniarką datę EKG i przyjdzie tutaj z ojcem. Czy robiliśmy pańskiemu ojcu rezonans?

– Dotychczas dwa razy tomografię komputerową mózgu, ale to chyba nie to?

– Nie. Jest to badanie potrzebne tylko nam, dla dokładniejszego zdiagnozowania choroby. Trwa około pół godziny. Czy ojciec cierpi na klaustrofobię?

– Nie.

– To dobrze, bo pacjenta wprowadza się na leżąco do takiej długiej rury. Badanie nic nie boli. Słyszalny jest natomiast głośny szum, ale zakładamy pacjentowi do uszu zatyczki. Proponowałabym, żeby porozmawiał pan z ojcem, czy zgadza się na to badanie.

– Myślę, że się zgodzi – stwierdzam szybko, nie będąc właściwie pewnym, czy rzeczywiście z chęcią je przyjmie. Ostatnio często wspomina, że jest zmęczony tymi wszystkimi badaniami.



– To na kiedy się umówimy?  
– Za parę dni przyjdę z ojcem na EKG. Ustalimy wtedy termin – proponuję.

– No dobrze. Tu jest recepta a tu karta informacyjna z dziennego pobytu diagnostycznego pana ojca.

Wychodzę z gabinetu, przeglądając wyniki badań. W recepcji proszę pielęgniarkę o wyznaczenie terminu EKG i następnej wizyty kontrolnej. Jest zajęta segregacją kopert z historią choroby pacjentów. – Przepraszam – uśmiecha się z zakłopotaniem. – Sam pan widzi, bałagan po przeprowadzce. Trudno sobie z tym wszystkim poradzić.

Czekam, aż ułoży kilka kopert na półce w odpowiedniej kolejności.

– Ojciec ma bardzo dobre wyniki – mówię. – Tylko trochę za duże OB i nieco więcej mocznika.

– Mógł być przeziębiony, albo poprzedniego dnia za dużo się najadł. – Pielęgniarka otwiera notes. – A jeśli chodzi o mocznik, to niech pije więcej płynów... czy przyszyły wtorek odpowiada panu?

– Tak. Wtorek może być. – Chowam dokumenty ojca do teczki i dodaję: – Stary zupełnie dobrze się trzyma, jak na te osiemdziesiąt osiem lat.

– Tak. Żwawo porusza się – zauważa pielęgniarka.

– Pani doktor stwierdziła, że postęp choroby jest bardzo powolny – mówię, patrząc w okno. – Wie pani, czasem pocieszam się, że z racji swojego wieku ojciec w naturalny sposób może nie doczekać trzeciego stadium choroby. To przykre patrzeć, jak sprawny fizycznie człowiek odmaszerowuje umysłowo...

Pielęgniarka obserwuje mnie ze współczuciem. –

Zapraszamy ponownie – mówi widząc, że odwracam się i wychodzę.

- Cześć, braciszku.
- Cześć, Marysiu.
- Czy ty podajesz mamie to lekarstwo na uspokojenie?
- Tak, już od trzech dni.
- I mama o tym nie wie?
- Przecież uzgodniliśmy, że nie będziemy jej o tym mówić.
- No tak... – Marysia zawiesza głos. Słyszę jej przyspieszony oddech. – Denerwuję się trochę.
- A co się dzieje?
- Mama dzwoniła do mnie, że źle się czuje.
- I co?
- Pojechałam do niej. Narzekała, że boli ją brzuch i że ma rozwolnienie. Może to od tego lekarstwa?
- Słuchaj, Marysiu, to na pewno nie od tego lekarstwa. Kiedy je brała poprzednio, to przecież miała zupełnie inne objawy: nudności i wymioty. Czy teraz też je ma?
- Nie.
- No widzisz. Ona ma hopla na punkcie wypróżniania się. Jeśli przez jeden dzień nic nie robi, to uważa, że ma zatwardzenie i faszkuje się środkami na przeczyszczenie. Stąd te bolesne skurcze brzucha i rozwolnienie. A po takim rozwolnieniu normalne

jest, że znowu przez jakiś czas nie ma wypróżnienia. Ale ona tego nie rozumie. Znowu bierze na przeczyszczenie i tworzy się błędne koło. Przecież podczas ostatniego pobytu w szpitalu stwierdzili, że ona nie ma żadnych zmian w przewodzie pokarmowym i w jamie brzusznej.

– Tak, tak... – powtarza Marysia bez przekonania. – A może powiemy jej, że bierze to lekarstwo?

– Po co, Marysiu?! – krzyczę do słuchawki. – Dopiero wtedy będzie chora. W żadnym wypadku. Niczym nie ryzykujemy. Obserwuję mamę. Jak tylko będzie coś nie w porządku, zawiadomię lekarzkę i zamówię wizytę domową. Być może, mama poprzednio dostała od razu za dużą dawkę, a może jej reakcja to był po prostu zwykły przypadek, jakieś zatrucie, czy coś takiego. Przecież wiesz, że oni wyjadają z lodówki różne stare rzeczy, bo im szkoda je wyrzucić.

– Wiem, Krzysiu.

– No widzisz. Ja od czasu do czasu robię przegląd lodówki i po cichu wyrzucam coś, co podejrzanie wygląda i nie tak pachnie. Ty też tak rób.

– Robię to. Ostatnio wyrzuciłam stary pasztet i wymyłam oślizgły pojemnik na wędlinę. Oni nie wiedzą, co tam mają...

– Mama nie pamięta, a ojciec zapomina. – Śmieję się, chociaż nie jest mi wesoło. – No dobrze, Marysiu, nie martw się, póki co panuję nad sytuacją. Jedziesz dzisiaj do nich?

– Chyba pojedę. Zaniosę im zupę i umyję mamie głowę.

– Znowu będę narzekać, że za dużo mają jedzenia. Przecież pani Kasia przychodzi do nich dwa razy

w tygodniu i gotuje na zapas.

– Tak, ale mama jest niezadowolona, że przez kilka dni musi jeść to samo.

– I tak całe szczęście, że jakoś przyzwyczaili się do tej pani Kasi...

– No, braciszku, muszę już kończyć.

– Trzymaj się, Marysiu. Będziemy w kontakcie.

– Jak było wczoraj?

– Gdzie?

– No tam, gdzie byliście. – Matka jest w podejrzeniu dobrego humorze. Nie narzeka na zdrowie ani na ojca. Jak zwykle siedzimy przy stole w dużym pokoju, ja, ona i ojciec. Jest to miejsce, które zazwyczaj powoduje, że stajemy się zdenerwowani i skłóceni. Tym razem jednak jest inaczej.

– Chodzi ci o Anin i o wujka Tolka? – pytam.

– Tak, tak.

– Spędziłeś tam bardzo przyjemne przedpołudnie i wieczór. Cały czas na powietrzu, w ogrodzie. Nawet obiad zjedliśmy na zewnątrz.

Zwykle w takich momentach matka stwierdza jęczącym głosem, że my to mamy dobrze, że wyjeżdżamy sobie do znajomych a ona tkwi w mieszkaniu jak więzień. Zwykle... ale nie teraz. – Cieszę się, że tak miło spędziliście czas – mówi.

– Gdzie byliście? – dopytuje się ojciec.

– Tato, byliśmy u wujka Tolka w Aninie.

– U wujka Tolka?

– On nie rozumie – stwierdza spokojnie matka. – Trzeba mieć do niego cierpliwość. – Ale na tym kończy. Ani słowa o zmarnowanym życiu, o konieczności opieki nad chorym człowiekiem, itd.

– Tato, mama Haliny ma brata, który ma na imię Tolek. To właśnie u niego byliśmy – tłumaczę.

– Aha – zastanawia się ojciec. – To ten pan, którego widziałem wtedy...

– Na imieninach mamy Haliny.

– No właśnie! – kwituje triumfalnie ojciec.

– On zaraz zapomni – macha ręką matka.

– Może nie będzie tak źle, mamo – ryzykuję i znowu nic. Matka spokojnie popija herbatę. Za oknem słoneczny zimowy dzień. Słońce głęboko zagląda do pokoju. Rozjaśnia dywan, stół i jej twarz. Ojciec je swoją ulubioną maślaną bułkę. Pełne złudzenie miłej, kochającej się rodziny. Boję się odezwać, żeby nie przysł ten niespodziewany miraż.

– Kto gotuje tam obiady? – pyta nagle matka.

– Oni sami. Wujek i jego syn.

– Naprawdę?

– Tak. Od czasu do czasu, w niedzielę, idą do restauracji.

Matka wzdycha, a ja oczekuje komentarza w rodzaju: „oni to mogą robić, bo są zdrowi, a ja, chora, jak mam gotować? Ledwo stoję, ciężko mi oddychać...”. Zamiast tego, matka uśmiecha się, jakby za chwilę miała opowiedzieć jakąś wesołą historię. – Ale z tą panią, jak jej tam..., Kasią, miałam numer – mówi i macha ręką.

– Co się stało? – pytam najeżony.

– Szukałam czegoś pod wieszakiem w przedpokoju. Patrzą, a tam torba plastikowa. Zaglądam do niej i wiesz, co w niej znalazłam?

– Co?

– Śmierdzące, zatęchłe, mokre ręczniki.

– Skąd się tam wzięły?  
– Ona je myła – wtrąca ojciec.  
– Nie myła, tylko prała – poprawia go matka.  
– No, prała – powtarza niechętnie ojciec.  
– I co dalej? – pytam, żeby zapobiec ewentualnej kłótni.

– Jak poprzednio u nas była, to robiła pranie, no i ręczniki prała też. Pomyślałam, że zapomniała je rozwiesić i przez pomyłkę wsadziła do tej torby...

– To niemożliwe.

– Możliwe. Ona ma sklerozę. Pewnie odłożyła je i tak zostawiła. W każdym razie, kiedy wczoraj znowu prała, to jej to pokazałam. Najpierw twierdziła, że to nie ona, ale potem chyba mi uwierzyła, bo wzięła je, wyprała jeszcze raz i w końcu rozwiesiła na balkonie. Przez resztę dnia chodziła jak w zegarku. We wszystkim zgadzała się ze mną.

– W ogóle nic gadała – dodaje ojciec.

– Dobrze jej to zrobiło – zauważam.

– Dobrze – zgadza się matka. – Ale najlepsze to było dopiero wieczorem, kiedy przyszła Marysia. Opowiedziałam jej o tych ręcznikach a ona mówi, że to nie pani Kasia to zrobiła, tylko ona.

– Marysia?

– Tak, kiedy była u mnie myć mi głowę. Wytarła mi włosy tymi ręcznikami i schowała je do torby, żeby zanieść do domu i wyprać. No i zapomniała je wziąć.

– To pani Kasia niepotrzebnie się nasłuchiwała. – Śmieję się, ale śmiech ten jest wymuszony i podszyty obawą, że wkrótce znowu wszystko powróci do „normy”. Ciekawe, jak długo potrwa ten względnie bez troski nastrój. Nawet ojciec się śmieje. Nie wyłączył



się z rozmowy, jak mu to coraz częściej się zdarza. Założył aparat i słucha uważnie o czym mówimy. Czy nie moglibyśmy być zawsze taką spokojną, nie skłóconą, kochającą się rodziną, która wspomaga się w niedoli i chorobie?

– Ile masz lat? – pyta nagle matka.

– Sześćdziesiąt, mamo.

– A ile ja mam lat? – dopytuje się ojciec.

– Już osiemdziesiąt dziewięć, tato.

– To niemożliwe – stwierdza kategorycznie ojciec. – Osiemdziesiąt pięć.

– Tato, urodziłeś się w 1915 roku, teraz mamy 2004 – tłumaczę, zapominając, że postęp choroby często uniemożliwia mu już umiejscowienie się w czasie.

Ojciec zastanawia się, liczy. – Osiemdziesiąt pięć – powtarza.

– To już masz sześćdziesiąt lat, Krzysiu – mówi w zadumie matka. – Jak ten czas leci. A tak nie dawno jeszcze trzymałam cię na ręku... Miałaś kilka miesięcy a ja byłam piękna i młoda... – Jej oczy napełniają się łzami.

Podchodzę do niej i obejmuję ją, wążką i kruchą. – Jesteś nadal piękna, mamo.

Wieczorem dzwonię do Marysi i opowiadam o wizycie u rodziców, o tym, że matka była tak zdumiewająco spokojna i wyciszona.

– Wiesz, zastanawiam się, czy to nie jest z jej strony jakiś podstęp, czy ona coś nie knuje – zastanawia się Marysia.

– Może... – odpowiadam. – Już nie raz było niby wszystko w porządku, a za godzinę dostawałem tele-

fon, żebym natychmiast do nich przyjeżdżał. – Ale po chwili, tknięty nagłą myślą, dodaje: – Może to efekt działania tego lekarstwa, które przepisała jej psycholog?